

TORUŃSKIE PIERNIKI

Prawie było słychać, jak jego nienaturalnie skręcone ciało trzeszczy. Krzywił się z bólu umiejscowionego gdzieś wyżej, ale i z powodu napięcia skóry w pasie. Czuł to. Musi przekręcić biodra, bo inaczej za chwilę miednica przebije go w połowie. Krew zalewała mu usta i nos. Nie wsiąkała w twarde podłoże chodnika przy Dybowskiej. Zaczął się krztusić. „Chryste, za chwilę się utopię!” – pomyślał. Chciał się unieść na rękach, ale lewy łokieć bolał jak diabli. Z pomocą prawej ręki przeturlał się na plecy i zrzucił lewą nogę z prawej. I tak pozostał, wyglądając jak zepsuta marionetka – z lewą stopą na prawej łydce, uniesionym i wygiętym z bólu ramieniem, twarzą zalaną krwią niczym rozmazanym makijażem na lalczynym licu. „I co jeszcze?!” – pomyślał. „Co jeszcze spotka mnie w tym pięknym dniu?!” W oddali zagrzmiało. Ciężka kropla deszczu spadła na jego czoło. „No nie!...”

Przewrócony wózek leżał obok. Jeden z tamtych go z niego zrzucił, ciągnąc za brzeg sportowej kurtki, tuż po mocnym ciosie w nos. W trakcie upadku musiał się wesprzeć na rękach. Wtedy pewnie uszkodził łokieć. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, żeby trenować bezpieczne upadki, tak jak inni podczas ogólnorozwojówki na siłowni. Trenerowi też to nie przyszło do głowy.

– Paweł! Przecież nikt niepełnosprawnego z wózka nie zrzuci, to niemożliwe! I to takiego młodego byczka jak ty! No, dojrzałego byczka po trzydziestce – powtarzał często.

Tych dwóch facetów zauważył już wcześniej, kiedy się zastanawiał na przystanku MZK, czy czekać na autobus. Miał sporo czasu. Przyjechał do Torunia po godzinie 15 pośpiesznym z Aleksandrowa, a koncert zaczynał się dopiero o 19.00. Co prawda, pub „Pamela” znajdował się daleko, na drugim brzegu Wisły, ale jego, sportowca z krwi i kości odległość nie przerażała. Miał własny niezawodny środek transportu – ręce i duże koła wózka inwalidzkiego. „Z Kujawskiej przez most do Placu Rapackiego. Potem w prawo do Horzycy, przez Odrodzenia do Cinema City, dalej w prawo – i już będzie na Legionów. Jakieś 3–4 kilometry. Zajmie mi to może z godzinę?” – pomyślał. „Dobry trening dla sztangisty! A i emocje rozładuję...”

Tamci snuli się w okolicy parku naprzeciwko dworca. Zwykle miejscowe żule. Pandy – „Pan da! Pan da 10 groszy!” Twarze, mimo wczesnej wiosny, mieli

już mocno ogorzałe. Od wody. Ich brązowo-bordowa barwa i liczne uszkodzenia powodowały, że byli do siebie podobni. „Kolorowi bracia krwi” – pomyślał. Kątem oka widział, jak przechadzają się nerwowo, wchodząc do parku i wychodząc z niego na chodnik Kujawskiej. Kłócili się, jeden drugiemu coś tłumaczył. Paweł słyszał tylko ich pijany bełkot, ale nie to zaprzątało wtedy jego myśli. Był podekscytowany koncertem. Czekał na to wydarzenie już od jakiegoś czasu. Taką muzykę nauczył go kochać ojciec. Krzaka słuchał od kołyski, a teraz Czarny Pies i live session! Wisienka!

Przez Internet zaplanował szczegółowo podróż pociągiem, kupił bilety na koncert i sprawdził nawet, czy będzie mógł bez przeszkód w nim uczestniczyć. Nie wszędzie jeszcze można wjechać takim środkiem lokomocji, jaki posiada. A nawet dla takiego wysportowanego i silnego mężczyzny jak on schody to czasami przeszkoda nie do przejścia. Jego podekscytowanie i radość z samodzielnej wyprawy, która dla każdego innego wydawałaby się zwykłym wypadem do „Toronto” na imprezę, przyćmiło nieco kilka wcześniejszych zdarzeń.

Na wózek trafił kilka lat temu, gdy podczas letniego wypadu niefortunnie skoczył do wody. Zaakceptował to. Nie było łatwo. Mozolna rehabilitacja, terapia psychologiczna i wsparcie rodziców pozwoliły mu, mimo wszystko, mieć nadzieję. Nie na powrót do pełnej sprawności, ale na szczęśliwe i spełnione życie, choć z pewnymi ograniczeniami. I tak właśnie żył. Miał dostosowane do swoich potrzeb mieszkanie (prezent od rodziców), wcale nie nudną pracę przy komputerze i marzenia, które systematycznie realizował. To życie toczyło się jednak tutaj – u niego. W jego mieście, w jego okolicy. Tutaj wszyscy go znali. Sklepiarz z osiedlowego sklepika nawet próg z własnej inicjatywy zlikwidował. Ludzie rozmawiali z nim normalnie, nie unikali go. Ale gdy tylko opuszczał to swoje miejsce, czuł się tak, jakby mieszkał w zaklętym królestwie, a cała reszta świata była pogrążona w odurzającym mroku nieświadomości. Wózek był tam wyznacznikiem imbecylności, braku możliwości bycia samodzielnym, symbolem wołającym: Pomóż! Wyręcz! Zaopiekuj się! Wszystkim bez wyjątku na widok wózka włączała się opcja HELP.

I tak też było tym razem. Poinformował kolej, że pociągiem o 14.25 będzie jechał niepełnosprawny na wózku. Takie są procedury, bo nie każdy skład jest przystosowany do przewozu osób niepełnosprawnych. Jakby ich w ogóle w społeczeństwie nie było! A na całym świecie przyjmuje się, że 5% ogółu populacji stanowią niepełnosprawni! Te 5% to na przykład 623,8 mieszkańców Aleksandrowa. I tylu teoretycznie mogłoby każdego dnia korzystać z transportu

kolejowego. Ale nie korzystają, bo musieliby codziennie uprzedzać kolej, która codziennie musiałaby się specjalnie przygotowywać. Codziennie! No, może mogliby przyjąć dyspozycję na tydzień – ale tylko na tydzień, nie dłużej. „Bo skąd wiadomo, czy ten niepełnosprawny do pracy będzie jeździł systematycznie?” – tak skwitowała dywagacje Pawła pani z infolinii PKP. Dlatego Paweł grzecznie uprzedził odpowiednie władze kolejowe, że w dniu 30 maja 2016 roku nastąpi doniosła chwila na dworcu w Aleksandrowie Kujawskim. Szanowny pan Kawecki wsiądzie do uprzednio przygotowanego wagonu o 14.52 i po siedemnastu kilometrach jazdy wysiądzie w Toruniu Głównym. Uprzedził, że „wysiądzie”, choć to nieprecyzyjne określenie, gdy mówi się o osobie jeżdżącej, a nie chodzącej. Mniejsza z tym! Nauczył się już mówić o sobie jak o „wychodzącym z imprezy”, „wstającym z łóżka”, „stojącym w kolejce”, bo ludziom było z tym łatwiej.

Pani z infolinii PKP była przemiła, a internetowy formularz zgłoszeniowy dla osoby niepełnosprawnej podróżującej koleją – profesjonalny. Liczył więc na równie miłą i profesjonalną pomoc w podróży. Przeliczył się. Pośpieszny z Warszawy zaczął wjeżdżać na dworzec kilka minut przed czasem odjazdu. „Jest dobrze. Będę miał chwilę, żeby wjechać swobodnie do pociągu” – pomyślał.

– Wagon z platformom dla osób niepełnosprawnych znajduje się na tyłach składu i zatrzymuje się w sektorze czecim – oznajmił głos z megafonu.

Pociąg wjechał na peron, a Paweł sprawdził, czy faktycznie znajduje się w sektorze trzecim. Trzeci! Jak byk! Przed nim stał jednak wagon starego typu, z niedostosowanymi przedziałami, którego wrót na wajchę strzegły jak wojownicy trzy wysokie stopnie z metalowej kraty. „Jak ja się tam dostanę?!” – zaczynał panikować, gdy wrota się otworzyły. Zobaczył uśmiechnięte twarze drużyny konduktorskiej, na których malowała się szczerą chęć niesienia pomocy nieszczęśnikowi zamierzającemu zdobyć żelaznego olbrzyma. Jemu!

– Dzień dobry! To pan zamawiał miejsce dla niepełnosprawnego? – zapytał z entuzjazmem młody cherlawy konduktor. Nie czekając na odpowiedź, dodał szybko słodkim falsetem: – Mieliśmy podłączyć nowoczesny wagon, ale w ostatniej chwili okazało się, że coś jest nie tak z hydrauliką. Więc wzięliśmy ten stary, ale spodoba się panu! A ja po przeszkoleniu jestem i wiem, jak pomagać osobom niepełnosprawnym! Wie pan, oznaczenia brajlowskie, piktogramy, te rzeczy... Przerwał i z uwagą przyjrzał się rozdziawionej gębie Pawła.

– Rozumie mnie pan? Rozumie mnie pan?! – zapytał, głośniejsze i wolniej artykułując słowa. Paweł się otrząsnął.

– Taaak... – zawiesił głos, by coś dodać, ale usłyszał basowy zaśpiew zza pleców młodego:

– To jaaaak? Wnosimy? Ja pana, ty wózek, Gabryś? – Drugi konduktor, rosły, ale leciwy już mężczyzna, któremu włosy rosły wszędzie, tylko nie na głowie, wyłonił się z pociągu chętny do niesienia pomocy udręczonym.

– Ale... ale ja sam chciałem... – zdołał wydukać Paweł.

– Sam to możesz pan w tej chwili wybrać, kto pana wtaszczy do wagonu – przerwał mu włochaty. – Ale kolegi nie polecam, bo to jakieś takie... W wojsku nigdy nie był. A ja byłem! I nie takie ciężary na plecach się nosiło. Jak worki z piaskiem żeśmy przrzucali pod Włocławkiem w dziewięćdziesiątym siódmym, bo powódź tysiąclecia na Toruń szła, to... To jedziesz pan czy zostajesz?

Potem złapał Pawła pod pachy, podrzucił jak lalkę i przrzucił sobie przez bark. Trochę stękał, bo chociaż nogi Pawła były nieproporcjonalnie szczupłe, reszta jego ciała ważyła sporo. Kawecki nie protestował. Był tak zaskoczony sytuacją, że oniemiał. Dopiero kiedy był już z włochatym w wagonie, zaczął krzyczeć do młodego, który walczył ze złożeniem wózka:

– Pociągnij za siedzenie! Pociągnij do góry, sam się złoży!

„O mało nie rozkręcił mi wózka na części...” – pomyślał. Gdy włochaty zrzucił go z ramion na miejsce w przedziale, Paweł uderzył głową w półkę na bagaż. Jęknął.

– A! A bagaż posiada? – zapytał konduktor.

– Nie posiada. Tylko wózek – mruknął Paweł, rozcierając potylicę.

– A wózek? Wózek jest! – zachichotał młody, dumny, że w końcu udało mu się profesjonalnie go złożyć.

– No to odjazd! – rzucił zasapany włochaty. – Jest dobrze? No, jak się należy! Przedział prawie pusty. – Tu wskazał jedyną współpasażerkę siedzącą pod oknem. – Wygoda, te rzeczy, cud-malina! A w Toruniu znowu po pana przyjdziemy, obsługa pierwsza klasa!

– Pierwsza klasa... – powtórzył Paweł prawie szeptem i dodał jeszcze ciszej „dziękuję”, choć wcale nie był wdzięczny.

Pociąg ruszył, a on pozostał ze swoimi myślami. Wściekły i rozgoryczony. Nigdy nie czuł się tak upokorzony! Jest przecież samodzielny, niezależny, jest człowiekiem, a nie workiem piasku dla powodzian!

– Chce cukierka? – Pytanie starszej pani siedzącej pod oknem wyrwało go z letargu. – Umie mówić? Chce cukierka? – Kobieta trzymała w palcach odwinętą krówkę. Białe loki podrygiwały na jej głowie z każdym słowem. Z rozmazaną czerwoną pomadką na ustach kogoś Pawłowi przypominała... Tak mogłaby wyglądać Marilyn Monroe na starość! „Żeby była choć trochę tak subtelna jak pierwowzór...” – pomyślał i odwrócił głowę.

– Nie umie mówić? Biedaczek. Tak przez los pokrzywdzony. Łzy się same do oczu cisną. Ach... – Marilyn westchnęła i zaczęła ssać krówkę. – A może kawałeczek? Nie gryzie? To ja odłamię! No! Dobrze! – Oderwała kawałek ssanego przed chwilą cukierka i zbliżyła dłoń w kierunku Pawła. – No! Za mamusię!

Tego Paweł nie wytrzymał.

– Zdziwi się pani, ale umiem mówić! I jestem, do cholery, już dawno dorosły! A mamusia mi pieluch nie zmienia! Sam szczam do kibla już od ponad trzydziestu lat, własnoręcznie trzymając mojego wielkiego fiuta!

Marilyn cofnęła rękę i skuliła się pod oknem.

– Czy to od razu trzeba tak krzyczeć? I być takim niewychowanym? Miła chciałam być dla kaleki... – mruknęła cicho.

Paweł zacisnął zęby. Zamknął też oczy. „Czarny Pies, Czarny Pies...” – powtarzał w myślach, dla uspokojenia przywołując gitarową solówkę Leszka Windera.

Marilyn nie odzywała się do końca podróży. Paweł też, choć drużyna konduktorska, która stawiała się przed wjazdem na Dworzec Główny w Toruniu, zagadywała do niego ochoczo i po przyjacielsku. Młody chciał go jeszcze odwieźć na główną halę, ale Paweł stanowczo odmówił. Wiedział, że sobie poradzi. Dworzec w Toruniu był po remoncie, przystosowany dla niepełnosprawnych. Ta myśl przynosiła ulgę, choć nie równoważyła wściekłości spowodowanej bezradnością i ludzkimi ograniczeniami – głupotą po prostu! Zagniewany wjechał na przystanek MZK na Kujawskiej. Dla rozładowania

emocji i z powodu dużej ilości czasu postanowił przejechać się wózkiem do centrum, a potem do „Pameli”. Nie pomyślał wtedy, że ci dwaj „kolorowi bracia” z parku mogą stanowić dla niego zagrożenie. Dojechał do zbiegu Kujawskiej i Dybowskiej, kiedy zagroździ mu drogę.

– Dawaj szmal! – zażądał jeden z nich.

Stał w pozycji do bicia, z pięściami uniesionymi na wysokości swoich oczu. Gdy przed nimi nie zobaczył jednak przeciwnika, skonfundowany opuścił wzrok... i pięści. Przytrzymał dziwaczną gardę, przestępując z nogi na nogę. Pawła rozśmieszyła ta sytuacja.

– No co ty? Człowieka na wózku będziesz... – nie dokończył.

Cios w twarz był wyjątkowo mocny jak na cherlawego, zmęczonego życiem żula. Zupełnie zaskoczył Pawła. Jeszcze bardziej zaskoczyło go to, co stało się zaraz potem. Ten mniejszy błyskawicznie chwycił Pawła za kurtkę i zrzucił z wózka na chodnik odchodzącej w bok uliczki. Któryś z nich mocnym szarpnięciem odpiął mu z pasa szaszetkę i – tyle ich było widać. Trwało to kilka sekund. A że ulica była ruchliwa, kilkoro świadków pobicia, przejeżdżających lub parkujących na pobliskim parkingu, podbiegło zaraz do Pawła.

– Wszystko widziałem! Uciekli w stronę Podgórza! – krzyczał elegancik z mercedesa.

Zaczął padać deszcz. Zebrany tłumek postanowił, że trzeba się schronić pod drzewem. Pawłowi było wszystko jedno. Prócz fizycznego bólu czuł buzującą mieszaninę emocji: złości, rozgoryczenia, rozczarowania, bezsilności, niemocy... Elegancik wraz z energiczną kobietą po czterdziestce, wykrzykującą komendy: „Dzwońcie na policję, po karetkę!”, „Rozejdźcie się, udzielę mu pierwszej pomocy!”, chwycili Pawła pod pachy z zamiarem posadzenia go na wózku, który wcześniej ktoś podniósł z chodnika. Paweł wył z bólu, ale energiczna krzyczała głośniej:

– Bliżej! Jeszcze trochę! Bliżej z tym wózkiem! Nie widzi pan, że go nie utrzymam?!

Udało się. Rzucili chłopaka na siedzenie jego pojazdu. Znów był na swoim miejscu. Postawili go na nogi. „Będzie dobrze!” – Zadowoleni pomocnicy przesunęli zakrwawionego Pawła pod drzewo i otoczyli szczelnym wianuszkciem.

– Dobrze się pan czuje? Jak tak można! Żeby niepełnosprawnego tak potraktować! – pytała energiczna.

– To bydlęta jakieś! – krzyczeli inni. – Zezwierzęcenie!

– Nie ma już świętości na tym świecie... – podsumowała starsza pani, wznosząc oczy ku niebu. – Biedactwo... – dodała.

„Kurwa! Ja pierdołę!” – pomyślał Paweł. „Co za szajs!”

– Wypierdalać – wyszeptał. – Wypierdalać! – powtórzył głośniej. – Nie słyszeliście?! Wypierrrrrdalać z stąd!!!

Elegancika, uduchowioną starszą panią i całą resztę zatkało. Zapadła grobowa cisza, tylko energiczna stwierdziła stanowczo:

– On jest w szoku. Tak, na pewno jest w szoku! – I dodała, nadal komenderując: – Odejdźmy stąd, proszę państwa. Zostawmy go. O! Właśnie przyjechała policja! – Podbiegła do nadjeżdżającego radiowozu.

Paweł kipiał ze złości.

– Wypierdalać wszyscy!!! – krzyczał bez ustanku i wymachiwał zdrową ręką umazaną krwią z nosa. Uderzył nią bezwiednie podchodzącego do niego młodego policjanta.

– I ty wypierdalał! – Policjant stanął w pozycji obronnej.

Drugi policjant z radiowozu rozmawiał ze świadkami. Starał się zabezpieczyć miejsce zdarzenia, przesuwając tłum, by zrobić miejsce dla właśnie nadjeżdżającej karetki pogotowia. Świadkowie się przekrzykiwali, wskazywali kierunek, w którym oddalili się napastnicy. I pukali się w czoło.

– Ześwirował biedak – mówili z politowaniem.

Paweł leżał już w karetce. Był opatrywany. Przestał krzyczeć.

– Ał! Boli... – wystękał, gdy jeden z sanitariuszy ucisnął mu ramię.

– Najprawdopodobniej złamanie z przemieszczeniem. Unieruchomić – zwrócił się do kolegi pielęgniarz, a sam zajął się twarzą Pawła.

Zaświecił mu w oczy, spojrzał w nie, ale na niego nie patrzył. Nie słuchał go, nie widział... Kawecki znowu czuł się nikim. „Na litość boską, czy ja istnieję?”

Czy ja jestem? Kim ja jestem, czym jestem? Dla Młodego, Włochatego, Marilyn, Elegancika, Energicznej i innych? Czy ja w ogóle JESTEM???" – pomyślał całkowicie zrezygnowany. Potem przyszło mu do głowy, że jest takim samym ignorantem jak wszyscy. Przecież w sytuacji zagrożenia posłużył się swoją niepełnosprawnością: „Niepełnosprawnego na wózku nie uderzycie!”. Był nawet gorszy niż oni, przytaczając taki argument. Litował się nad sobą bardziej niż cała ta plejada „pozał się Boże” samarytan... Jedno wielkie zakłamanie gównem! I wtedy go olśniło! Był ktoś, kto potraktował go normalnie, jak zwykłego człowieka. A właściwie to BYLI. Napastnicy! Te toruńskie żule, brązowe na twarzy jak pierniki! Ha, ha! „Toruńskie pierniki!” – pomyślał. „To taka normalna napaść, bez uprzedzeń i zbędnego rozczulania się. To ci dopiero paradoks!”

Cichy do tej pory pacjent zaczął rechotać na noszach. Zdezorientowani ratownicy przyglądali się dygocącemu ciału chłopaka, podejrzewając drgawki pourazowe. To może być uraz mózgu... Paweł ryknął wreszcie głośnym śmiechem. Śmiał się i płakał. Wszyscy świadkowie zdarzenia, włącznie z policjantami, ucichli, zwracając się w stronę karetki. Ujrzeni zapłakanego, pokiereszowanego chłopaka z ręką na temblaku, który znowu wymachiwał zdrową ręką i wołał w przerwach głośnego śmiechu:

– Dziękuję chłopaki! Ha, ha! Dziękuję wam, cholerne toruńskie pierniki!

Już wiedział, że JEST, że istnieje. Że ta podróż – to najlepsze, co mu się mogło w życiu przytrafić. To spełnienie jego najważniejszego marzenia: być normalnym.

Sanitariusze zamknęli karetkę.

– Potrzebna konsultacja psychiatryczna. Powiadomcie lekarza dyżurnego – nadali przez radio i ruszyli na sygnale.

Deszcz przestał padać. Burza ominęła Toruń.